Piz Morteratsch – 3751 m n.p.m.

> *„Przygoda, z nieodzownym ryzykiem i dziką przestrzenią, stanowi tęsknotę głęboko wpisaną w duszę mężczyzny. Męskie serce potrzebuje miejsca, w którym nic nie jest prefabrykowane, wzorcowe, podgrzane w mikrofali. Gdzie nie ma terminów, telefonów komórkowych ani spotkań zarządu. Gdzie jest miejsce dla duszy.”*
>
> John Eldredge – Dzikie serce

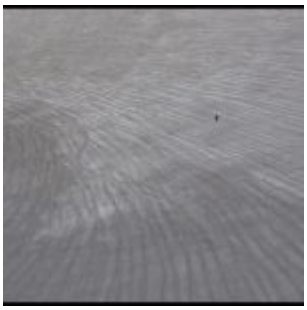

Samotny wędrowiec na lodowcu.

Nie byłem sam! Cały czas towarzyszył mi ludzik z klocków. W tle Piz Roseg (3937 m).

Biancograt widziana z Piz Morteratsch. Widoczni nasi przyjaciele, którzy w 3-osobowym zespole idą po ostrzu grani.

Nie ma to jak poplumkać na czekanie. W tle po lewej Piz Scerscen a po prawej – Piz Roseg.

Oni na dół, ja do góry.

5 lipca 2019 – wyjście w środku nocy miało zagwarantować sukces i zdobycie szczytu Piz Berniny. Niestety okazało się kolejnym, trzecim już falstartem. Jeszcze przed podejściem na przełęcz, zaraz za trawersem, Aga sygnalizuje fatalne samopoczucie. Wygląda, jakby miała zaraz umrzeć, albo jeszcze gorzej – jakby umarła pół godziny temu. Wracamy we dwoje do namiotu, podczas gdy pozostała trójka kontynuuje próbę.

W miarę zbliżania się do namiotu Aga czuje się odrobinę lepiej i zapewnia mnie, że mogę pójść gdzieś jeśli chcę, bo ona chce

się po prostu wyspać. Postanawiam zatem wejść na znajdujący się tuż nad nami Piz Morteratsch. Do pokonania mam około 1000 mH i naprawdę niewielką odległość do przejścia. Kiedyś już raz (w 2013) zrobiłem podobną próbę dokładnie z tego samego miejsca. Zawróciłem wtedy ze śnieżnego ramienia, jakieś 40 minut od wierzchołka.

Na starcie niespecjalnie czułem się zmotywowany. Po pierwsze rozczarowanie, jeśli chodzi o główny cel, czyli Piz Berninę. Rozczarowanie nie tyle wycofem, bo powód był niepodważalny, ale całą tą formą, jaką przybrał nasz atak szczytowy. Nie byliśmy na tę trasę przygotowani i zostanie to udowodnione, ale o tym kiedy indziej. Po drugie, w namiocie zostawiłem chorą Agę. Co jak co, to nie jest osoba, która by sobie nie poradziła w takiej sytuacji. A nawet gdyby było kiedyś krytycznie, to by po prostu mi to powiedziała. No ale jednak, siedziało to z tyłu głowy. Ogólnie – nogi niosły, ale głowa ciążyła.

Jednak wraz z pokonywaną wysokością troski przemijały ustępując miejsca zdecydowaniu. Jeszcze zanim dotarłem do lodowca poczułem rytm. Niesamowity stan, w którym wszystko współgra i jest „na tak”. Wyskakuję na lodowiec i macham kończynami po śniegu tak, jak płetwami macha żółwik moich dzieci na basenie, kiedy go na maksa nakręcą. Na grzbiecie ponad mną obserwuję 3 posuwające się do góry punkty. Czyli tak zupełnie sam dziś tu nie będę, to nawet dobrze.

Wydeptanymi w śniegu stopniami szybko zdobywam wysokość i chwilę potem zasuwam śnieżnym ramieniem. Przy kopule szczytowej przechodzę na drugą stronę i trawersuję lodowe masy zwisające ze wschodniej ściany. Staję przed szczeliną, wzdłuż której prowadzi ścieżka i tracę cały impet. Iść czy zawrócić? Nie wyczuwam szczególnego zagrożenia, ale ewidentnie teren przestaje być przyjazny. Rozmyślam jakiś czas, nie wiem ile – może 2 minuty, a może 2 sekundy. Finalnie decyduję, że idę dalej, bo podświadomie czuję, że ryzyko jest akceptowalne.

Za szczeliną i za trawersem zaczyna się ostatnie już, ostre podejście na szczyt. Tu spotykam innego turystę i jest mi od tej pory znów lekko na duszy, ponieważ on też idzie sam. Zagaduje mnie:
– Where are you come from?
– Poland.
– I knew it!
– Why?
– You’re here alone, so you must be from Poland!

Rozmawiamy jeszcze kilka minut, co mi jest bardzo na rękę, bo potrzebuję złapać oddech. Potem napotykam jeszcze 2 ekipy schodzące na dół i zaraz potem staję na wierzchołku. Nie czuję nic specjalnego, a spodziewałem się czegoś ekstra ze względu na to, że byłem sam, a takie doświadczenia z reguły przeżywam mocno. Na pewno poczułem satysfakcję z powodu czasu, w jakim tu wszedłem – 2h10´.

Na dół nabieram jeszcze większego rozpędu i schodzę te 1000 mH zaledwie w 1h05´. **Aga podsumowuje tempo zejścia krótko: „Rozwalisz sobie kolana”.**

> *„Większość ludzi trwoni siły, starając się wyeliminować ryzyko albo zmniejszyć je do wygodnych rozmiarów. Gdy to się udaje, gdy mężczyźnie udaje się zabezpieczyć życie przed ryzykiem, ląduje w kokonie samoocalenia i nieustannie zastanawia się, dlaczego się dusi. (…) Tak przy okazji, można stracić duszę na długo przed śmiercią.”*
>
> John Eldredge – Dzikie serce

Dziku